

Tadeusz Stefańczyk I takie buty...

Marian Buchowski: Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury. Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2014, s. 662, w tym fotografie.

Stachura – widać taka już natura jego – przychodzi i wraca falami. Za każdym nawrotem, jakby z samej natury rzeczy, jest to fala mniej żywiołowa, mniej magiczno-mistyczna i gurutwórcza. Może odbita po drodze od innych i nowych fal traci rozpęd, atrakcyjno-niszczycielską świeżość. Coraz lepiej poznawana i oswojona... W każdym razie tsunami, podobne do tego z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, raczej nam nie grozi. Stachura przestaje być gorącym kartoflem, którym parzyły się i dławiły zastępczo w marnej epoce tłumu wiernych i złąknionych Innego Życia; przestaje być przedmiotem adoracji, a staje się przedmiotem coraz sumienniejszych, sumujących się badań. Dla Mariana Buchowskiego, autora najnowszej biografii Edwarda Stachury, jak niegdyś dla Stagiryty, adorującego w młodości Platona, prawda, często szara, przyziemna, mało lotna, zdaje się cenniejsza niż efekt i poklask. Żmudna rzetelność bardziej pożądana niż nimb męczeństwa, świętości i boskości, niż czar i żar natchnionego słowa. Niż tu i ówdzie wciąż żywe ruchy gurutwórcze, adoracje Ołtarza, nowe mitologizacje i pisane z młodego rozpędu hagiograficzne wspomnienia „serdecznych przyjaciół” oraz minibiografie produkowane na kolanach lub na kolanie.

Liczne, ba, nadliczne „stachuriady”, całonocne czuwania, złoty przy grobie poety na Wólce, spirytystyczne seanse i wiecznie żywe „msze wędrującego” miały bezsprzecznie swój niepowtarzalny smak, swoisty urok młodzieńczych olśnień, uniesień i nawiedzeń. I niech takie już pozostaną. Trochę tajemnicy i magii nie szkodzi portretom jak ociupina maggi zupie. Nawet wybierając inne strony i struny, inne kierunki i optyki, warto pamiętać o tych, co obudzili i podnieśli, i o tym, co zatargało młodzieńczą wyobraźnię. Autor *Traktatu poetyckiego*, z wielu powodów niechętny skamandryckiej „pięknej plejadzie”, z bezpiecznej odległości czterdziestu lat i własnych dokonań w godnych zapamiętania słowach oddaje sprawiedliwość magom i czarodziejom młodości:

Nie widzi, przyszły czytelnik poetów,
Ni krzywych płotów ani wron pod chmurą,
Gotów już odtąd mieszkać w kraju czarów.
To on, jeżeli oszczędzi go zguba,
Zachowa czułość dla tych, co go wiedli.
A Iwaszkiewicz, Lechoń i Słonimski,
Wierzyński, Tuwim na zawsze zostaną
Tak, jak spotkała ich młodziutka pamięć.

Buchowski w swojej drugiej książce o Stachurze (pierwszą była w 1992 roku *Stachura. Biografia i legenda*) pragnie, korzystając z nowszych badań i publikacji, choćby olbrzymiej porcji listów, poszerzyć i pogłębić naszą wiedzę o artyście i człowieku. Pamięta o mitotwórczej pracy wyobraźni, o korzystnych zaokrągleniach i mocno wybiórczym charakterze wspomnień; zdaje sobie sprawę z całych pokładów wokółstachurowego czarodziejstwa i prestidigitatorstwa, a przecież, zachowując trzeźwość do bólu i preferując fakty, nie bawi się w taniego sapers-ikonoklastę, nie rzuca się z młotem na marmur. Nie burzy mitu, ale go mądrze uzupełnia, inkrustuje i równoważy prawdą pozbieraną w archiwach, wydestylowaną z uważnie przesianych i skonfrontowanych ze sobą wspomnień. Nie odbiera nam – i sobie – tamtego Stachury, jakiego spotkała nasza młodziutka wdzięczna pamięć i po drodze utrwaliła na niebiańskich wyrębach i w chacie nowej Potęgowej, babci Oleńki, filmowa Trójca Święta: Leszczyński – Żentara – Olbrychski. Nie odbiera nam, mimo braku nabożeństwa do piosenek Steda, tamtego barda, podpartego zaiste znakomitą muzyką Jerzego Satanowskiego, ani tamtego przyniesionego przez ptaki i rzuconego w środek PRL-u Chłopca z deszczu. On tylko nie chce, by wyimaginowany Ariel przesłaniał człowieka z krwi i kości, uganiającego się całe lata z wyborną sprawnością po koślawych opłotkach pseudoludowej Santa-Polonii. By przesłonił wiecznego studenta, niezwykle zaradnego w zdobywaniu kołaczy, najlepiej bez pracy, sprytnie podchodzącego panienki w dziekanatach, rektorskie szczy, promotora pracy magisterskiej (dwudziestopięciostronicowej, bronionej w dwudziestym ósmym roku życia), władze i skarbników Związku Literatów Polskich, redaktorów czasopism i dyrektorów wydawnictw. Słynne z umizgów i wygibasów, osobne, łaszące się, liryczno-cwane podania Edwarda Stachury (a jest ich trochę – z premedytacją? – w książce Buchowskiego), dowodzące znajomości Systemu i jego ukrytych mechanizmów, są arcydziełami wydrwigrosza, majstersztykami psychologii użytkowej. Bujający w obłokach, oczywiście niezyciowy w powszechnej opinii, poeta w ciągu paru lat załatwia sobie niemal wszystko, co jest do załatwienia: miejsce w akademiku, dogodne terminy egzaminów, przenosiny z uczelni do uczelni, rekomendacje luminarzy z Iwaszkiewiczem na czele, chwilówki, zapomogi, kredyty, stypendia krajowe i zagraniczne, dwa mieszkania po przeciwnych stronach Wisły, na Pradze i na Stegnach. To ostatnie, w którym zamieszkała po rozwodzie żona, podobno – jak utrzymywała matka poety – otrzymał za wstawiennictwem I sekretarza Partii, i imiennika zarazem, Edwarda Gierka. Jednych jedna sobie uśmiechem i wdziękiem, innych gitarą i bezpośredniością brata-łaty, niektórych, jeśli do niej zajrzą, poezją, jeszcze innych zapędza do narożnika i bezlitośnie punktuje, aż osiągnie zamierzony efekt. W sprawie swojego guru, Andrzeja Moszczyńskiego, którego pragnął niefrasobliwie „dołączyć” do imiennego zaproszenia i zabrać ze sobą do Stanów na prywatny panel dyskusyjny, jego uparte kapryszczenie ociera się niebezpiecznie o tupet. Jednych uwodzi sprawnością fizyczną i zręcznością wiewiórki, gdy urządza Ikarowe loty i biegi po konarach drzew, innych – a specjalnie kobiety z maślanymi oczami – „zaszczyca” łaską udzielania mu pożyczek, jako że cierpi na notoryczne suchoty sakiewki. Jeszcze

innych, z tego samego powodu, bezlitośnie ogrywa w pokera, a cudze zobowiązania, inaczej niż własne długi, egzekwuje z namiętnością i zapalem czekisty. „Wyciąganie forsy od kobiet napawa mnie już wstrętem” – skarży się i kaja w jednym z listów do Mieczysława Czychowskiego (*Buty Ikar*, s. 79). Ale jak wyjść na moralną prostą, skoro – bywa – „stachurysy” same, z rozpędu biegną Stedowi z pomocą, wtykając mu, przy okazji, mimochodem, zaliczki na wspólną przyszłość, na bliższy, głębszy i trwalszy kontakt. Oczywiście Stachura i kobiety to sam w sobie fascynujący temat na powieść, film czy głębokie studium.

Owo piękne i często tragiczne „przystępowanie do siebie” płci, magnesowanie przestrzeni i tworzenie galwanicznego pola nieujarzmionych sił („Elektryczność z oczu bije” – powiada weselny Poeta do Maryny i wie, co mówi) od stuleci, od tysiącleci ożywia sztukę. Ale póki żyją strażnicy mitu i czuwają – w kokonie wymownego milczenia lub za tarczą prawa – nad swoim i cudzym „dobrym imieniem”, póty biograf będzie miał związane ręce i w jakimś sensie zasznurowane usta. Zresztą badacz tego tematu winien siłą rzeczy uwzględnić oba napędzające bieguny i, by tak rzec, żywotne interesy i prawdę obu płci. Gdy pod numerem 488. w przypisach Buchowskiego znajduję rzeczową adnotację: Joanna Bielas, *Kobiety Edwarda Stachury*, „Imperium Kobiet” 2012, nr 10 – mój spłoszony królik zaczyna drzeć z góry, a męska szowinistyczna świnia kwiczy na zapas. IMPERIUM KOBIEK brzmi niezwykle groźnie, a nawet złowroźnie dla kogoś, kto w młodości, z wypiekami, poczytywał sobie do poduszki Stanisława Malinowskiego, był całe lata straszony wymownymi posązkami Wielkiej Matki i podjudzany mądrym i przewrotnym *Fetyszem płodności z paleolitu* Szymborskiej. Myślę, że jednostronność i jednoznaczność cyklopa nie odpowiada również autorowi *Butów*. Stara się on być sprawiedliwym sędzią, gromadzącym latami, często trochę za sute, akta sprawy. I, jeśli okoliczności pozwalają, przedstawiającym je do wglądu jak najszerszej publiczności.

W tym miejscu pragnąłbym serdecznie autorowi podziękować za niezwykle dar pamięci o Stachurze. I jeszcze serdeczniej za dar książki. Bo „dar to nie la-da i skarb – nie drobnota” – powtórzę za Leśmianem. Solidne buty, do tego jeszcze po legendarnym górnolotnym fruwa-czu czy „fruwalu” (tu znów nieoceniona, nieodżałowana Szymborska), nawet jeśli trochę za duże i za ciężkie – kilo i ćwierć żywej wagi – to dziś niemała gratka. Dlatego nie wybrzydźmy starym zwyczajem, panowie krytycy, ale siądźmy na zydlu i uszyjmy sami bardziej wyszukane i fantazyjne, głębsze i lepsze.

Skąd tyle o butach? W końcu buty jak buty. Ikar, syn znakomitego rzemieślnika Daidalosa, wynalazcy zmyślnego sprzętu ginekologicznego w kształcie krowy dla kreteńskiej carycy Katarzyny, królowej Pasihpae, pewnie nie wyfrunął z Knossos na bosaka, choć Breughel, fotografując pędzlem jego efektowny, powszechnie znany upadek do morza, nie dostrzegł na nogach nieszczęśnika żadnych butów, choćby letnich sandałów. A zatem ten trop odpada. Pozostaje z niego jedynie imię lekkomyślnego, tragicznego bohatera i ogólny kierunek: z góry na dół, z nieba na ziemię, z pieca na łeb. Zauważmy jednak, że – jak w przypadku

Małego Księcia – wektor ten nie przesądza z góry o katastrofie, a nawet tworzy nowe, żywe konteksty. Nie oznacza od razu gniewnego strącenia przez Bogów (na przykład strzałą pioruna) czy przez siły Natury (prawo grawitacji). Może mieć nieco łagodniejszy charakter odwiedzin, przybycia w gości, po nowe doświadczenia, wreszcie przybycia z pomocą, skoro pilot narrator, doznawszy awarii silnika, zakopał się na amen w piaskach Sahary. Ugrzązł beznadziejnie, równie beznadziejnie, jak 30 grudnia 1935 roku przyszedł autor *Małego Księcia*, Antoine de Saint-Exupéry.

Sytuacja uwięzienia, sytuacja graniczna, jeśli nie zabija od razu, paradoksalnie odkrywa i uruchamia nowe, nieznane dotychczas moce wyobraźni, potęguje duchowość, wyzwala twórczość. Skrajna samotność może ratunkowo wykreować fikcyjnego sobowtóra-rozmówcę, najmiłszego z miłych i najofiarniejszego z uczynnych. A skoro się spędziło zaledwie ćwierć wieku temu szczęśliwe dzieciństwo w arystokratycznym pałacu („Gdzieś tam był park, pełen jodeł czarnych i lip, i stary dom, który kochałem”), najnaturalniejszą z naturalnych kreacją spadłego pilota arystokraty może być też spadły z nieba czy wypadły z głowy spadającej, mniejsza o niuanse, Mały Książę. Uczą się wzajemnie w nieustannym, wzbogacającym dialogu, w wymianie myśli i doświadczeń, rzeczy w życiu najważniejszych. Pielęgnacji uczuć, oddzielania ziarna od plew, pozorów od Sedna, szukania wody życia, nadpłacania za Wartość. Mówi się, że *Mały Książę* obrazuje przejście od mimowiednej, bywa, że toksycznej, miłości, prostego spadku po *libido*, do trudniejszej i mocniejszej, bo „zapłaconej” przyjaźni. Gdyśmy szczęśliwie dostąpili jej łaski, oścień śmierci, jak powiada Biblia (1 Kor. 15, 55), staje się marnym straszdyłem, a oddanie życia „za przyjaciół swoje” (J 15, 13) – czymś równie naturalnym, jak śpiew ptaka. Pustynny sobowtór, w akcie spontanicznej ofiary, zręcznie przykrytej szlachetnym kłamstwem Księcia (ten trzykrotnie się czerwieni niczym idący w zaparte Piotr-Opoka w Ogrojcu), zręczną bajeczką o Róży i powrocie „do siebie”, przyjmuje dobrowolnie rolę straceńczego dublera. Ustaliwszy wprzód z mądrym i niebezpiecznym wężem, znanym już przecież z Raju, dobrą cenę za pomyślną reperację serca samolotu, bo wszystko w tym świecie kosztuje i nie bierze się znikąd – Książę przyjmuje oścień i poprzez martwy piasek pustyni powraca tam, skąd przyszedł, z czego się wyłonił. Oszołomiony cudem ratunku, nieświadomy zrazu przeistoczenia i zaciągniętego zobowiązania na życie, które odtąd nie do końca do niego należy, jakby nie rozumiejący wiele z „brzydkiego figła”, z „dobrego numeru” (*unbienvilain tour*), wyciętego mu przez małego przyjaciela, pilot, nie znalazłszy jego ciała, odlatuje o świcie do swoich. Skorzysta z wielkiej lekcji pustyni i lekcji utraconego dzieciństwa, utraconej bezpowrotnie niewinności, przemyśli wiele, napisze parę książek, pięknych i mądrych. *Małego Księcia* zadedykuje w 1943 roku swojemu żydowskiemu przyjacielowi, cierpiącemu głód i poniewierkę, jednemu z czterdziestu milionów francuskich zakładników. On sam, z „de” przed nazwiskiem, które – jak mniemał – do czegoś zobowiązuje, on sam, dłużnik świata, zakładnik honoru, na parę dni przed wyzwoleniem Paryża (i Leona Wertha) od da w powietrzu dług, który zaciągnął, również u swoich bohaterów. Przypomni

nam o wcale nieprostych relacjach między autorem a jego kreacjami. Trzydziestego pierwszego lipca 1944 roku podczas pełnienia służby autor *Pilota wojennego* i *Małego Księcia* zwróci swój pustynny kredyt. Runie na skrzydłach do tego samego morza mitów, które przykryło Ikara.

Wróćmy jednak z nieba na ziemię, do naszych butów, skoro zostały przez autora wywindowane na afisz, a następnie – jak zmyślna zagadka albo najgłębsza tajemnica (nie można wykluczyć szpetnego figielka w stylu książęcym) – okryte całkowitym milczeniem. Czy jednak całkowitym? Tego nie mogłem wiedzieć, poczytując sobie tu i ówdzie książkę Buchowskiego. Ale mogłem się dowiedzieć, drążąc ją detalicznie, uczciwie, z mazaniem i zapiskami, przez okrągły miesiąc. Wiedza kosztuje. Dziś już wiem, a dokładniej – uzbrojony w Wittgensteinowe traktatowe mądrości w rodzaju: „Co można pokazać, tego nie można powiedzieć”, „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć” – wiem co nieco, domyślam się, odgaduję, szukam najbliższych słów. Szanując w gruncie rzeczy milczenie autora, który w tekście nawet jednym zdaniem nie zająknął się o tytułowych butach, a pokazał je z grubsza jedynie, do tego z cudzego zdjęcia i jedynie na obwolucie książki, sam zmuszony jestem, z lekka naprowadzany przez fotografię (a może wyprowadzany w pole?), z trudnością dociekać *eidos*, kręcąc – za fenomenologią – coraz ciaśniejsze kręgi przybliżeń. Muszę pomocniczo sięgać po *Małego Księcia*, o którym w tekście Buchowskiego głucho, i do własnych doświadczeń z marcowym śniegiem, o których za chwilę. Słowem, wpuszczony tytułem jakby *ни пручём*, jakby z innej bajki, w późnozimowe maliny, węższą zagadkę; spychaną do podświadomości tajemnicę, myśl opierającą się słowom, jednoznaczному nazwaniu. I nie daję za wygraną...

Jeszcze o butach, po raz trzeci i ostatni; dosadnie i grubo, stawiając – na przekór zażenowanym chłopcom, Wittgensteinowi i Buchowskiemu – kropkę nad *i*, może nawet dwukropkę – tremę nad ypsylonem. Otóż w bojowych czasach konspiiry, gdy świat słał pozdrowienia i paczki dzielnym Polakom, wpadły mi w ręce buty, co wszystko naraz wygląda, jak to u nas, na oksymoron. Solidne, z magicznym „czterdzieści i cztery” na grubej, twardej, karbowanej gumie; miały wszelkie możliwe zalety i jedną niedogodność: odmawiały całkowicie i stanowczo jakiegokolwiek współpracy z zimowym podłożem. Chodzenie po marcowym lesie na koturnie mokrego, zbitego z piaskiem śniegu daje się porównać jedynie z kłusem na szczydłach. Buty poszły w kąt, utonęły w morzu niepamięci.

Na słynnym zdjęciu Danuty Pawłowskiej, pieczołowicie datowanym (była to niedziela 21 marca 1976 roku, miejsce: osypany świeżą śnieżycą lasek pod Grudziądzem), zdobiącym obwolutę księgi Buchowskiego, widzimy radosnego, okutanego zawadiacko charakterystycznym szalikiem *Małego Księcia* w uprząży ptasiego zaprzęgu. Postać *w i s z ą c a* na zaimprovizowanej huśtawce zdaje się nie mieć ciała, nic nie ważyć, przeczyć prawu grawitacji. Choć da się analitycznie rozróżnić na fotografii modnie polatane dzinsy i słynną dugłasówkę, dwie rzeczy ogniskują bez reszty uwagę patrzącego: rozjaśniająca pejzaż, o p r ó c z świeżego

śniegu, smuga uśmiechu i całkowicie ciemne, mimo świeżo spadłego śniegu, który wiosną bywa mokry i kleisty, zelówki butów na pierwszym planie. Butów Ikara?

Po wywołaniu zdjęć w Warszawie Stachura, który lubił (się) fotografować, pisał zadowolony do Pawłowskiej: „Cudowna jesteś na huśtawce i wszędzie [...], ja też całkiem możliwy, a na huśtawce jestem bardzo ptakopodobny, tak mnie cudownie «zdjęłaś»” (podkreślenia moje – TS). Na marginesie: trzy lata z okładem później, po straszliwych kolebaniach, noszeniach i odlotach, inna kobieta, mityczna Gałązka Jabłoni, zdejmie go wiszącego w przedpokoju pustego, ogołoconego ze zdjęć (przeważnie spalonych) i pamiątek mieszkania na Rębkowskiej. Martwe ciało, pozbawione pneумы, odzyska nagle swój przeżający ciężar, neutralizowany dotychczas tym wszystkim, co Niemcy, z Robertem Schumannem na czele, określają mianem *der Aufschwung*. Do tej pory Stachura, pełen żywej fantazji, ruchliwości, polotu niespokojny duch, Ariel czy Skierka, Chłopiec z deszczu i Dyl Sowizdrzał, robił, co chciał. Odbywał Ikarowe loty poezji (ze szczególnym, perwersyjnym upodobaniem w prozie), przebiegał granie, meksykańskie Sierry, wdrapywał się na Czarodziejską Górę mitycznego uniesienia, zwiedzał wierzchołki drzew, a we francuskim dzieciństwie z pasją, nie bez sukcesów, wspinał się na śliski, natarty parafiną *mât de Cogne* po butelkę wina dla starszego brata. Bujał w obłokach poezji i miłości, cudownej (lubił to słowo!), bezgranicznej, nieokiełznanej. Biegł, upojony istnieniem, na złamanie karku, bo proklamował i praktykował życie intensywne, nasycone, „życie w straszliwym i cudownym napięciu w każdej zawsze i wszędzie sekundzie [...], żeby śmierci, tej zwyczajnej wariatce, nic nie pozostawić w spadku”. Legendarne były jego podróże i przygody, gdy nagle, nieoczekiwanie pojawiał się i znikał, jak w Meksyku, w Ann Arbor, w Minneapolis... Legendarne zwariowane pomysły, gdy gnał w zawiei dwadzieścia godzin taksówką przez równe Tatrom góry Antylibanu przeszło sto kilometrów z Damaszku do Bejrutu, by dopaść na chwilę uciekającą mu kobietę. Gdy – goniąc beznadziejnie za swoim ideałem i przeznaczeniem, za swoją „piękną zagładą” – niczym Ikar czy jastrząb „spadał z nieba” (to jego słowa) na stojący w bejruckim porcie statek „Orneta” z Gałązką Jabłoni na pokładzie.

A teraz ta wiotka, słaba Gałązka próbuje utrzymać zdjęte ze sznura, czy ze sznurem, wyrwane Mitowi i przenośni ciało, które odzyskuje nagle ołowianą dosłowność tragicznie nieruchomej materii. Tym cięższej, że po drodze pozbywała się ona gorącego tchnienia, szczodrze, wspaniałomyślnie przekazując ogień życia bytom zastępczym sobowtórom: Szeruckiemu, Kątnemu, Praderze oraz najintensywniej i najmniej szczęśliwie Człowiekowi Nikt.

Odciełam go. Ale nie mogłam go utrzymać. Miałam potworne wrażenie, że się bardzo uderzył w głowę, gdy upadł na podłogę.

Każde życie, nawet Edwarda Stachury, namiętnego piewcy istnienia, kończy się śmiercią, „jak każda śmierć, tragiczną”. Na koniec spotkania z wartościową,

zapładniającą do refleksji pracą Mariana Buchowskiego, jakby na potwierdzenie ważkich słów Poetki, że ze śmiercią nie należy przesadzać, bo bywa w swej robocie niechlujna, nieuważna, marudna, a „kto ile zdążył, tego mu cofnąć nie może”, przypomnijmy znaleziony w *Butach* bezpretensjonalny, sercem malowany obrazek przyjaciela Stachury, Janusza Żernickiego, z 1980 roku. Ma on bowiem dziwną moc rozjaśniającą – jak tamta śniegowo-wiosenna fotografia Małego Księcia w obowiązkowym szaliku i tajemniczym obuwiu na leśnej huśtawce...

Edek, który uwielbiał dzieci, porwał nas kiedyś z moją najstarszą córką i żoną do siebie do Łazieńca. [...] A droga była jedną z najpiękniejszych w tej części Kujaw. Wądołami, manowcami, wąwozem, skrajem lasu i grądu poprzez rozhuśtany pagórkowaty krajobraz coraz to inne odsłaniający widoki, w falującym sierpniowym popołudniu. Podczas tej wędrówki demonstrował nam, a głównie chyba wszystko pojmującej, rozświetlonej i szczęśliwej Zycie, swoje akrobatyczne umiejętności. Ileż było w tym uroku młodości i jeszcze beztrojski, mój Boże! Biegł koronami drzew przydrożnych, przerzucając się z gałęzi na gałąź tak szybko, że musieliśmy go gonić, biegnąc po ziemi obok.

Książka Mariana Buchowskiego i harmonijnie dopełniająca ją praca Barbary Czochralskiej (*Ktoś z innej planety. Spotkania z Edwardem Stachurą*, UNIVERSITAS, Kraków 2014) dowodzą, że Stachura wciąż biegnie, i wciąż powyżej, jakby krok przed nami.